

Polski śpiewak w operze w Paryżu

SPECJALISTA OD RÓL WAGNEROWSKICH

W Opéra Bastille w Paryżu odbędzie się dziś premiera „Latającego Holendra” Richarda Wagnera. W roli tytułowej wystąpi polski śpiewak, znakomity bas-baryton Tomasz Konieczny.

ROZMOWA Z
TOMASZEM KONIECZNYM

ANNA S. DĘBOWSKA: Rola Holendra Tulacza to kolejny krok w pana karierze śpiewaka wagnerowskiego?

TOMASZ KONIECZNY: To jest rola w moim życiu obecnie bardzo ważna. Kiedyś moją flagową rolą był Alberyk z „Pierścienia Nibelunga”. W ostatnich latach w „Pierścieniu...” śpiewam już wyłącznie Wotana, partię moich marzeń, zadanie życia. W 2018 r. debiutowałem w Bayreuth rolą Telramunda w „Lohengrinie”, którą kreowałem także w Dreźnie. Teraz wchodzę w mroczny świat Holendra w paryskiej Opéra Bastille.

Jest to pana debiut w tej roli?

– Śpiewałem ją przed wieloma laty w operze w Düsseldorfie, ale odłożyłem. To jedna z trudniejszych ról u Wagnera – trzeba się dobrze orientować w muzycznej i literackiej materii jego dzieł. Parę lat temu dostałem zaproszenie z Bayreuth, aby śpiewać Holendra. Na Festiwalu Wagnerowskim wybuchł wtedy skandal związany z rosyjskim basem Jewgienijem Nikitinem, który miał kreować tę rolę, gdy odkryto, że wśród licznych tatuaży na ciele śpiewaka jest również swastyka. Wtedy dostałem telefon z Bayreuth z prośbą o zastępstwo. Chorowałem wówczas, więc odmówiłem. To była mądra decyzja – nie zaczyna się przygody z takim festiwalem jak Bayreuth, wskazując z marszu w rolę Holendra.

W Paryżu nie wskakuje pan z marszu?

– Śpiewałem Holendra w tym roku na Münchner Opernfestspiele w zastępstwie Bryna Terfela. Od wielu miesięcy mam zaproszenie do tej roli z Metropolitan Opera w Nowym Jorku i Lyric Opera w Chicago na 2023 r., a także propozycję, można powiedzieć „bombę atomową”, o której nie mogę na razie mówić oficjalnie. Liczę też, że w przyszłym roku wystawię „Latającego Holendra” na moim autorskim Baltic Opera Festival w Sopocie, przy czym w tym przypadku przymierzam się także do reżyserii spektaklu.

Do tej roli się dojrzewa. „Latający Holender” jest wprawdzie dziełem, które Wagner skomponował na początku kariery, kiedy jeszcze nie wypracował koncepcji dramatu muzycznego i sięgał po włoskie wzory, ale wielki dyrygent Christian Thielemann uważa go za skomplikowaną partyturę, choćby ze względu na polifoniczne sploty chóru i orkiestry w III akcie oraz z powodu „groteskowego” finału tej ope-



• **Tomasz Konieczny podczas występu w Filharmonii Łódzkiej, 1 października 2018 r.** FOT. **TOMEK OGRODOWCZYK/AGENCJA GAZETA**



• **„Latający Holender” w paryskiej operze** FOT. **FREDERIQUE TOULET/ONP**

Ostatnio brakuje mi w teatrze poezji, niedopowiedzenia, drażni mnie dosłowność i publicystyka

ry. Dla bas-barytona już 12-minutowy monolog Holendra z I aktu stanowi duże wyzwanie. Zapowiada słynne monologi wokalnie-recytatywne z dramatów muzycznych Wagnera.

Jest pan również aktorem. Jaką postać tworzy pan w Paryżu?

– Holender – wzorowany na figurze Żyda Wiecznego Tulacza – jest tajemniczym zja-

wiskiem, które co siedem lat pojawia się na świecie w nadziei na wyzwolenie. Pragnie przestać istnieć, aby przerwać mękę nieskończonej, ale przekłętą egzystencji. Aby zrozumieć ten stan, można szukać analogii do ludzi śmiertelnie chorych, którzy odczuwają potworny ból.

Holender jest tworem przeklętym, ale nie ma w nim zła. Przygotowując rolę, miałem w wyobraźni Kaja, chłopca z baśni o Królowej Śniegu Hansa Christiana Andersena. Jego serce jest zamrożone, z letargu budzi go jego siostra Gerda. W operze Wagnera Holendra ratuje Senta.

Może to medium, może obłąkana? Reżyser Willy Decker wspaniale pokazuje spotkanie dwóch nadnaturalnych postaci. Ostatnio brakuje mi w teatrze poezji, niedopowiedzenia, drażni mnie dosłowność i publicystyka. Dlatego cenię Deckera, cenię też Krzysztofa Warlikowskiego, którego „Tristana i Izoldę” podziwiałem niedawno w Monachium. To wielki teatr.

Ja również nie lubię teatru publicystycznego, ale nie mogę oprzeć się analogii, że los Holendra Tulacza przypomina los współczesnych uchodźców, również tych, którzy koczują dziś w nieludzkich warunkach na polskiej granicy.

– To, co się tam dzieje, to rzeczywiście skandal, tragedia humanitarna i niechłubne świadectwo naszej ludzkiej kondycji. Nie rozumiem tej niechęci Polaków do uchodźców. Przecież sami od wieków szukaliśmy lepszej przyszłości poza krajem. Dlaczego nie rozumiemy innych, którzy są zmuszeni do tego samego? Ja sam mogę się uznać za uchodźcę, wyemigrowałem z Polski za chlebem ponad 20 lat temu i obcy kraj mnie i moją rodzinę wtedy przyjął.

Jak wygląda sytuacja w teatrach operowych po pandemicznej przerwie?

– Na próbach w Opéra Bastille śpiewamy prawie cały czas w maskach. Myślę, że jeszcze rok temu taka decyzja wzbudziłaby niechęć kolegów, może nawet protesty, ale już przestaliśmy się emocjonować, podchodzimy pragmatycznie. Na razie świat operowy się podnosi, nie sądzę jednak, abyśmy prędko wrócili do tempa pracy sprzed pandemii.

Dlaczego?

– Teatry nie planują w tej chwili równie długofalowo jak kiedyś. Niektóre zaczynają planować dopiero od roku 2024, a do tego czasu zamierzają grać rzeczy dość przypadkowe lub już znane, powstrzymując się przed inwestowaniem w nowe produkcje. Tak postąpił nowy szef Opery Paryskiej Alexander Neef.

Zaczął kadencję od własnej produkcji, „Edypa” Georgego Enescu, ale „Holender” Deckera to już inna sprawa – inscenizacja, którą wystawiano na wielu scenach i którą Paryż zakupił teraz dla siebie. Tak robi od dawna wiele teatrów, przypomnę choćby „Werthera” w reżyserii Deckera w Operze Narodowej w Warszawie, bo tak jest po prostu oszczędniej.

Pandemia bardzo zachwiała naszym zawodem. Pogorszyły się warunki pracy artystów śpiewaków i muzyków. W umowach odmawia się nam jakichkolwiek klauzul odszkodowawczych w sytuacji, gdy spektakl zostanie odwołany z powodu pande-

mii. Krótkowzroczność tego rozwiązania jest potworna. Teatrów ensemblowych, angażujących śpiewaków na etat jest coraz mniej, jako środowisko coraz bardziej tracimy poczucie bezpieczeństwa.

Z drugiej strony ludzie odchodzą z zawodu. Wydawałoby się, że jak znów zaczniemy grać, będziemy tak spragnieni występów, że będziemy się bić o role. Okazało się, że wielu kolegów odeszło z zawodu, wpadło w depresję, choruje lub nie czuje się na siłach – fizycznie i psychicznie – udźwignąć swej roli.

Kończy się teatr repertuarowy jako taki. Nawet w Operze Wiedeńskiej wprowadzono cięcia i rezygnuje się z własnych produkcji operowych, bo to zbyt kosztowne. Tym bardziej że brakuje widzów i przychodów z biletów. Opera staje się chyba rozrywką dla jeszcze mniejszej garstki. Berlin i Wiedeń mają problemy z wypełnieniem widowni w stu procentach.

Z czego to wynika?

– Ludzie mniej podróżują lub po prostu rezygnują z wypraw do opery. Kiedyś planowali takie wyjazdy z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, rezerwowali loty i hotele, ale to się skończyło, bo nikt nie może być pewny tego, co będzie za pół roku. W Wiedniu brakuje turystów z Japonii i Chin, a oni też byli ważną grupą odbiorczą.

Dlatego postanowiłem ten trudny czas wykorzystać na zrealizowanie marzeń, na które nigdy nie miałem czasu.

Brzmi to tak, jakby pandemia była dla pana szczęśliwym trafem.

– Była potwornym szokiem. Odwołanie moich przedstawień „Pierścienia Nibelunga” w Operze Wiedeńskiej przyplaciłem niemal depresją. Potem śledziłem kolejne dramatyczne informacje, zamknięcie Metropolitan Opera, gdzie miałem śpiewać w grudniu 2020 r., zamknięcie festiwalu w Bayreuth.

Zacząłem się bać o bezpieczeństwo materialne mojej rodziny. Jestem jednak typem człowieka, który walczy do końca, nawet jeśli wielokrotnie w ciągu tych niespełna dwóch lat miewałem poczucie bezsensowności tworzenia i miałości mojego życia.

Ale nagrał pan w tym czasie dwie świetne płyty.

– Z moim pianistą i przyjacielem Lechem Napierałą, który mieszka na stałe w Wiedniu, przygotowałem recital wokalny „Between Death and Love”. Mieliśmy aż za dużo czasu, więc ćwiczyliśmy cykl Musorgskiego „Pieśni i tańce śmierci” wraz z romancami Rachmaninowa.

Gdy sale koncertowe znów się otworzyły, mogliśmy szybko zareagować – wystąpiliśmy z tym programem w Operze Wiedeńskiej i Filharmonii Narodowej w Warszawie, nagraliśmy go na płytę, a w lecie przedstawiliśmy na wymyślonym przez mnie minifestiwalu w krużgankach zażytkowego klasztoru w Wiener Neustadt pod Wiedniem. To historyczne miejsce, w którym odbyło się pierwsze wykonanie „Requiem” Mozarta.

Z drugiego projektu cieszę się chyba jeszcze bardziej – udało mi się wykonać wokalnie moje trzy ukochane wiersze Krzysztofa Kamila Baczyńskiego: „Spojrzenie”, „Wigilię” i „Śmierć”, które wspinały kompozytor Aleksander Nowak ujął na moje zamówienie w cykl pieśni „Apokalipsa”. Przedstawiliśmy ten utwór z Lechem Napierałą w Muzeum Powstania Warszawskiego 31 sierpnia tego roku, zestawiając go z „Kindertotenlieder” Gustava Mahlera. To rodzaj spektaklu ze scenografią i wizualizacjami. Dzięki wsparciu Instytutu Adama Mickiewicza będziemy go wykonywać za granicą – w Wiedniu i Monachium już w listopadzie tego roku. ●

„Latającego Holendra” w paryskiej Opera Bastille reżyseruje Willy Decker, dyryguje Hannu Lintu, w roli tytułowej występuje Tomasz Konieczny, w roli Senty Ricarda Merbeth, jako Daland – Günther Groissböck. Premiera dziś.